płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—31.V.1987 | 10

Bibl. WEP
Akc./C Czyt

Fot. Roman Kamiński

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Azor jest moim najlepszym przyjacielem!

— Znów musisz wyjść?!

— No, już dobrze, Reksiu, oddam ci piłeczkę!

● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ●

POJEZIERZE MAZURSKIE nazywane bywa „krainą tysiąca jezior". Ale określenie to nie jest dokładne, gdyż na Warmii i Mazurach znajduje się około 3000 jezior.

●

W CHILE, niedaleko miasta Arika, przepływa niezwykła rzeka. Wody jej płyną tylko nocą, w dzień zaś przez koryto rzeki można przejść suchą nogą. Dzieje się tak dlatego, ponieważ woda tej rzeki pochodzi z topniejącego w Andach śniegu. Topnieje on podczas dnia i dopiero pod wieczór woda wypełnia koryto.

●

WIELBŁĄD jest jedynym zwierzęciem, które może gasić pragnienie wodą morską. Sól zawarta w morskiej wodzie nie tylko mu nie szkodzi, ale — jak zbadali uczeni — chroni ona zapas wody w organizmie tego zwierzęcia przed wyparowaniem.

●

JEDYNYM kontynentem na kuli ziemskiej, na którym nie występują trzesienia ziemi, jest Antarktyda. Uczeni pracujący tam w stacjach naukowych będą się starali wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje.

W SZWECJI zaczęto produkować masowo obuwie dla... psów. Są to buty ze skóry, gumy i tworzyw sztucznych. Pierwsza partia, wykonana z tworzywa żaroodpornego, przeznaczona została dla psów strażackich. Psy szkolone dla straży pożarnej już w czasie nauki zaczynają chodzić w butach. Tak więc buty nie są przeznaczone dla domowych pupilków, którym na spacerze marzną lub mokną łapki, ale dla psów pracujących w trudnych warunkach.

●

PROPORCJONALNIE do wagi swego ciała, słoń jest o wiele słabszy od człowieka. Człowiek może podnieść innego człowieka, słoń natomiast nie udźwignie innego słonia.

●

LEKARZE stwierdzili, iż palenie papierosów znacznie zmniejsza zdolność płuc człowieka do pobierania i wykorzystywania tlenu. Ma to szczególne znaczenie dla sportowców, którym przy dużym wysiłku fizycznym konieczna jest jak największa ilość tlenu w płucach. Zawodnik, który nie pali, osiąga lepsze wyniki.

Nasza okładka:
Wiosenna łąka

Tak nachylona,
jakby szczęście niosła
w ramionach ciepłych i czułości pełnych.
Tak zapatrzona, jakby w oczach dziecka
odczytać chciała całą jego przyszłość.
I tak uśmiechem pragnąca zażegnać łzę jego każdą,
że wiesz:
to jest miłość —
siadła przy stole z synem na kolanach (...)

Janina Brzostowska
(Fragment wiersza pt. „Życie rodzisz kwitnąc")
Rys. Ewa Włodarska-Fuks

W miejscu urodzenia Stanisława Aleksandrzaka

Każde dziecko uczęszczające do tej szkoły wie, że tutaj, w Marchwaczu, urodził się Stanisław Aleksandrzak.

Stąd, z tej podkaliskiej wioski, wyruszył w szeroki świat. Ukończył seminarium nauczycielskie. I już w latach przedwojennych dzieci uczył.

— Czego uczył?

Pogody, uśmiechu i Ojczyzny.

W czasie wojny też uczył. Konspiracyjnie. Został za to wywieziony przez hitlerowców do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Zaraz po wojnie stworzył pismo dla dzieci najmłodszych „Iskierki", później w 1957 roku „Misia". A przez niemal cały czas powojenny, od stycznia 1945 roku, przez 39 lat, był redaktorem naczelnym „Płomyczka".

Redaktor Stanisław Aleksandrzak

Chociaż przez większą część życia mieszkał i pracował w Warszawie, zawsze pamiętał o swojej rodzinnej Ziemi Kaliskiej i o Marchwaczu. A mieszkańcy Marchwacza także nie zapomnieli o Nim. Przecież właśnie Jego wybrali na patrona swojej szkoły.

Od 30 maja Szkoła Podstawowa w Marchwaczu nosić będzie **imię Stanisława Aleksandrzaka**.

Na pierwszym piętrze szkoły utworzona zostanie Izba Patrona. Tu w gablotach pamiątki po Nim — Jego fotografie, rękopisy, listy i książki przez Niego napisane.

A pod wielką fotografią Pana Stanisława daty: 15.II.1909 — 12.II.1985 i ostatnia książka, już po Jego śmierci wydana, „Kalejdoskop ojczysty".

Począwszy od tej chwili, od 30 maja 1987 roku, uroczystości szkolne zaczynać się będą od wyprowadzenia **sztandaru** i od **hymnu** opartego na strofach Jego wiersza „Nasza ziemia".

* * *

Przygotowania do tej uroczystej chwili trwały już od roku. Uczennice i uczniowie zapoznawali się z twórczością swojego przyszłego patrona. Spotkali się z żoną i dziećmi redaktora Aleksandrzaka i z dyrektorem Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia" Czesławem Wiśniewskim.

Instytut ten, z którym przez długie lata związany był Stanisław Aleksandrzak (jako naczelny redaktor „Płomyczka"), patronować będzie szkole Jego imienia.

Przez cały rok uczniowie, a zwłaszcza harcerze, nauczyciele i rodzice wykonali bardzo wiele prac. Zorganizowali wystawę pamiątek po Stanisławie Aleksandrzaku, wieczór Jego twórczości, prowadzili kronikę Akcji „Patron", gromadzili konieczne fun-

W parku za firankami drzew — Szkoła w Marchwaczu *Fot. Józef Biernacki*

dusze (np. na sztandar), nawiązali kontakty z pisarzami, przyjaciółmi Patrona, m. in. z Janem Stanisławem Kopczewskim i Ludwikiem Jerzym Kernem.

30 maja — podczas Uroczystości Nadania Imienia — szkolna biblioteka w Marchwaczu wzbogaci się o nowości wydawnicze „Naszej Księgarni".

We wszystkich tych działaniach wspierała szkołę Stacja Hodowli Roślin w Marchwaczu.

A po uroczystości rozstaniemy się. Dzieci i ich nauczyciele wrócą do swych pobliskich domów, a goście z różnych stron kraju odjadą z nadzieją, że za rok może spotkają się znów w Marchwaczu, na literackim poranku Patrona tej szkoły.

Albo spotkamy się tu z innej okazji... Mówi się ostatnio sporo o jakimś dorocznym konkursie... Mógłby to być konkurs recytatorski. Oczywiście Konkurs imienia Stanisława Aleksandrzaka, organizowany z udziałem „Płomyczka".

Tadeusz Chudy

Hymn Szkoły Podstawowej w Marchwaczu imienia Stanisława Aleksandrzaka

Piękna jest nasza ziemia,
szeroki nad nią błękit,
piękne są wsie i miasta,
gdzie ludzka praca tętni.

Piękne są górskie szczyty,
radosny szum strumienia,
piękny jest trud człowieka,
co życie w lepsze zmienia.

JAK CHŁOP WYGRAŁ ZAKŁAD

Był w jednej wsi chłop znany z dowcipu i rozumu.

Dowiedział się o nim pan, co także uchodził za mądrego i co też — jak mówił — nie każdemu pozwolił sobie grać na nosie. Posłał więc po chłopa pan ów i kazał mu powiedzieć, że chciałby go widzieć i posłyszeć jego mowę i dowcipy. Przybył więc chłop na wezwanie pana.

— Słuchaj no! — powiada pan. — Różne rzeczy powiadano mi, podobno umiesz doskonale kłamać.

Na to odrzekł chłop:

— Jegomość! Co? Ja bym miał kłamać! Nic podobnego, prawdą żyję, brzydzę się łgarstwem.

— Mój bracie — rzecze pan — czy chcesz, czy nie chcesz, musisz mi coś takiego powiedzieć, czemu ja nie będę mógł dać wiary i powiem, że kłamiesz. Jeżeli tego dokażesz, dostaniesz natychmiast ode mnie sto talarów, a jak nie, to odbierzesz sto batów na skórę.

Po czym wyliczył sto talarów na stół, a chłop, rad nierad, tak zaczął prawić:

— Ano, kiedy koniecznie mam coś powiedzieć, to i powiem, ale nie będę kłamał, jeno żywą prawdę powiem. Znalazłem kiedyś dorodne ziarno pszenicy, zasiałem je w ogródku pod oknem. Jegomość nie uwierzy, jak to ziarno prędko wyrosło w potężny jęczmień, taki wysoki, że nie można było dojrzeć końca. I to przez jedną noc!

Pan mu na to.

— To wszystko być może!

— Ciekaw jednak byłem, jak też ów jęczmień wysoko sięga — mówił chłop dalej — i drapałem się po nim aż na sam wierzch. Ale przestraszyłem się, kiedy już byłem na czubku! Bo ów jęczmień sięgał aż do samego nieba.

Na to odrzekł pan:

— Być to wszystko może!

— Ale nie uwierzy jegomość, com ja dalej zrobił! Wspiąłem się na czubek, podskoczyłem — i oto jednym susem byłem w niebie.

— I to być mogło — odpowiedział pan.

A chłop dalej:

— Kiedym już był w niebie, zacząłem się oglądać na wszystkie strony. Wtedy ujrzałem mnóstwo aniołów, którzy z ogromnymi kijami do mnie lecieli i przygrażali mi nimi. Nie wiem, co począć ze strachu, uciekam

ku dziurze w niebie. Zdążyłem, ale niestety, nie zobaczyłem już mojego jęczmienia, tylko kupę plew obok dziury. Nie uwierzy jegomość, co to człek w strachu potrafi! Ukręciłem z plew powróz długi, aż do ziemi, przymocowałem go do krawędzi nieba i szust na dół.

— To wszystko być może — spokojnie stwierdził pan.

A chłop dalej:

— Ale to jeszcze nie koniec. Oto widzi jegomość, w tej prędkości ukręciłem powróz za krótki. Nie sięgał do ziemi, więc wiszę na powrozie, przecież skoczyć z takiej wysokości nie mogę. Myślę więc sobie: przecież powróz ten, co jest u góry, już tam niepotrzebny, jeno na dole. Obcinam u góry i przywiązuję u dołu. Ale jeszcze zabrakło. Co tu robić? Nie widzę żadnego ratunku. Puszczam powróz i lecę w dół. Wpadłem na jakieś dziesięć łokci w glinę. Znowu strach, znowu nie wiem, jak sobie poradzić, by z tej gliny się wydobyć.

— To wszystko być mogło — przerwał mu pan i już się cieszył w duchu, że wygrał zakład.

— Biegnę więc co tchu do domu — powiada chłop — przynoszę motykę i sam się z tej gliny wykopuję.

— Wszystko to być może — stwierdził pan. — A potem pewnieś poszedł do domu?

— O, nie! Na tym jeszcze nie koniec mojej mitręgi, bo właśnie deszcz rzęsisty zaczął padać. Lało jak z cebra. Nie było się gdzie schować, więc poszedłem prosto ku wsi, którą z daleka widziałem. Z bliska poznałem, że to wieś jegomościnego ojca. Spieszę się, jak mogę. Byłbym przemókł do suchej nitki, gdybym się nie miał gdzie schronić. Patrzę, a w ogrodzie ktoś za świniami łazi w kapeluszu z ogromnymi piórami, tak szerokim jak rzeszoto. Dalej ja więc do owego człowieka i nic nie mówiąc, nie patrząc na niego, wcisnąłem się pod jego szeroki kapelusz. I w ten sposób schroniłem się od największej ulewy. Kiedy już padać przestało, podnoszę oczy do góry, by podziękować za schronienie i widzę przed sobą, kogo? Ojca jegomości...

— Kłamiesz — wrzasnął pan — mój ojciec nigdy świń nie pasł!

Chłop pokłonił się nisko, zgarnął pieniądze i wyszedł zadowolony.

Szlachcic nie odezwał się ani słowem, musiał przyznać mu rację.

Opracował Stanisław Aleksandrzak

Rys. Jerzy Flisak

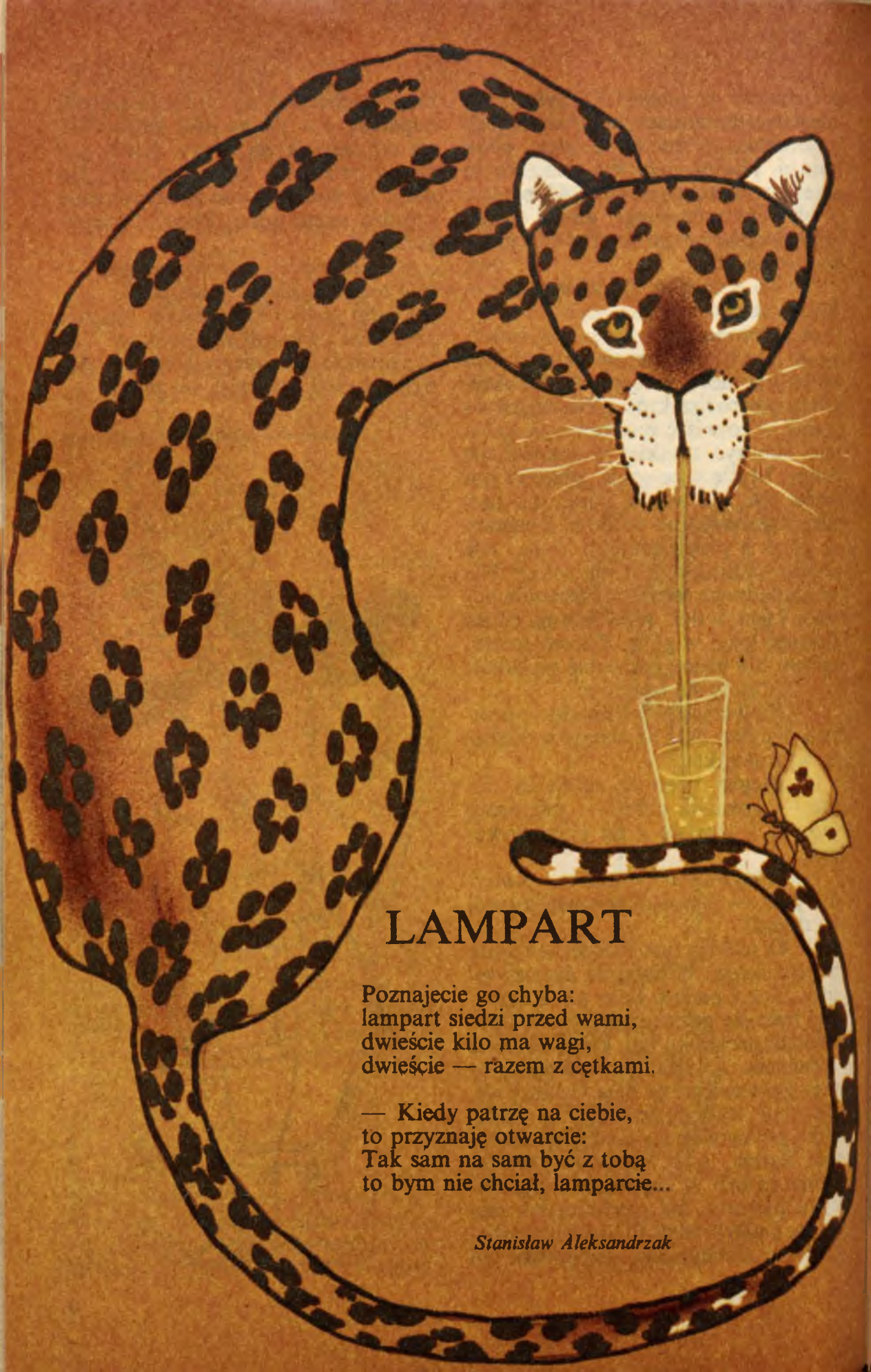

LAMPART

Poznajecie go chyba:
lampart siedzi przed wami,
dwieście kilo ma wagi,
dwieście — razem z cętkami.

— Kiedy patrzę na ciebie,
to przyznaję otwarcie:
Tak sam na sam być z tobą
to bym nie chciał, lamparcie...

Stanisław Aleksandrzak

WIERSZ BEZ TYTUŁU

Nad brzegiem morza, tuż za Lublinem,
gdzie Wisła wartko pod górę płynie,
dzień był upalny, śnieg pokrył drzewa...
W gęstej wiklinie karp się rozśpiewał,
a mały słowik wbrew zwyczajowi
nurkował w wodzie i ryby łowił...
Nagle w słonecznym, zielonym blasku
księżyc na sznurach splecionych z piasku
wodę rozwiesił, chciał, żeby Wisła
w promieniach słońca zupełnie wyschła.
Pomysł przedziwny, wprost nie z tej ziemi,
mógł całą Wisłę w chmury zamienić
i wówczas rzeka, jak wiecie sami,
płynęłaby nam ponad głowami...
Ale co robić, nad brzegiem Wisły
bywały czasem takie pomysły...
Na szczęście zerwał się halny nagle,
płynącym „fiatom" pozrywał żagle
i zamiast szumieć, jak szumi w górach,
harcował zwinnie w piaskowych sznurach.
Szarpał je, targał, znów leciał dalej,
zrywał wiszące na sznurach fale
i gdy ostatni sznur wreszcie przeciął,
zawrócił Wisłę rybacką siecią...
Na to dąb, który z tysiąc lat żyje,
rzekł: zawracano już Wisłę kijem
i, choć to trudno mieści się w głowie,
fakt ten potwierdza znane przysłowie (...)

Stanisław Aleksandrzak
Rys. Przemysław Woźniak

Nie zawracaj kijem Wisły

FRASZKI

Stanisława Aleksandrzaka

Mądrala

Nie wie — czy Sandomierz
rzeka, czy jezioro,
nie wie — skąd się drzewa
w starym lesie biorą,
nie wie — czy na sośnie
są igły, czy listki.
Lecz co jest na obiad —
wie lepiej od wszystkich.

Gorliwa

Przeczytała w książce
kiedyś Basia o tym,
że mowa jest srebrem,
a milczenie złotem...
Teraz nawet w klasie
morał ten pamięta.
Gdy pani ją pyta,
milczy jak zaklęta...

Sportowiec

Pewien chłopiec w klasie
bardzo się tym chwali,
że biega najszybciej
i skacze najdalej.

Owszem, biega szybko,
bardzo się tym cieszę,
lecz z klasy do klasy
ledwo biedak przeszedł...

Rys. Bohdan Butenko

DWAJ KUCHARZE

Kiedyś odwiedził mnie mój kolega Michał. Ucieszył mnie jego przyjazd, bo dawno go nie widziałem. Mama także była zadowolona z jego wizyty.

— Bardzo dobrze, żeś przyjechał — powiedziała. Razem będzie wam weselej. Jutro muszę pojechać do miasta. Może nawet zanocuję tam. Czy dacie sobie radę beze mnie?

— Na pewno — powiedziałem. — Nie jesteśmy przecież małymi dziećmi.

— A czy potraficie sami ugotować obiad?

— Potrafimy — mówi Michał — dlaczego nie?

— Ugotujcie sobie zupę i kaszę. Kaszę nietrudno ugotować.

— Dobrze — mówi Michał — ugotujemy i kaszę.

— Michał, uważaj — mówię — a jeżeli nie będziemy umieli?

— Nie obawiaj się — powiedział Michał. — Widziałem, jak mama to robi. Taką kaszę ugotuję, że palce lizać.

Rankiem mama dała nam chleb, słoik powideł, pokazała, gdzie są jakie produkty, wytłumaczyła, jak ugotować zupę i ile wziąć kaszy. Nie bardzo uważnie tego wszystkiego słuchałem. Po co mam pamiętać — myślę — kiedy Michał i tak umie gotować.

Mama pojechała, a my postanowiliśmy iść nad rzekę na ryby.

— Poczekaj — mówię do Michała. — Jeżeli obaj pójdziemy nad rzekę, to kto ugotuje obiad?

— Wielkie zmartwienie! — mówi Michał. — Po co gotować obiad? Zjedzmy teraz chleb z powidłami, a na kolację ugotujemy kaszy. Kaszę można jeść bez chleba.

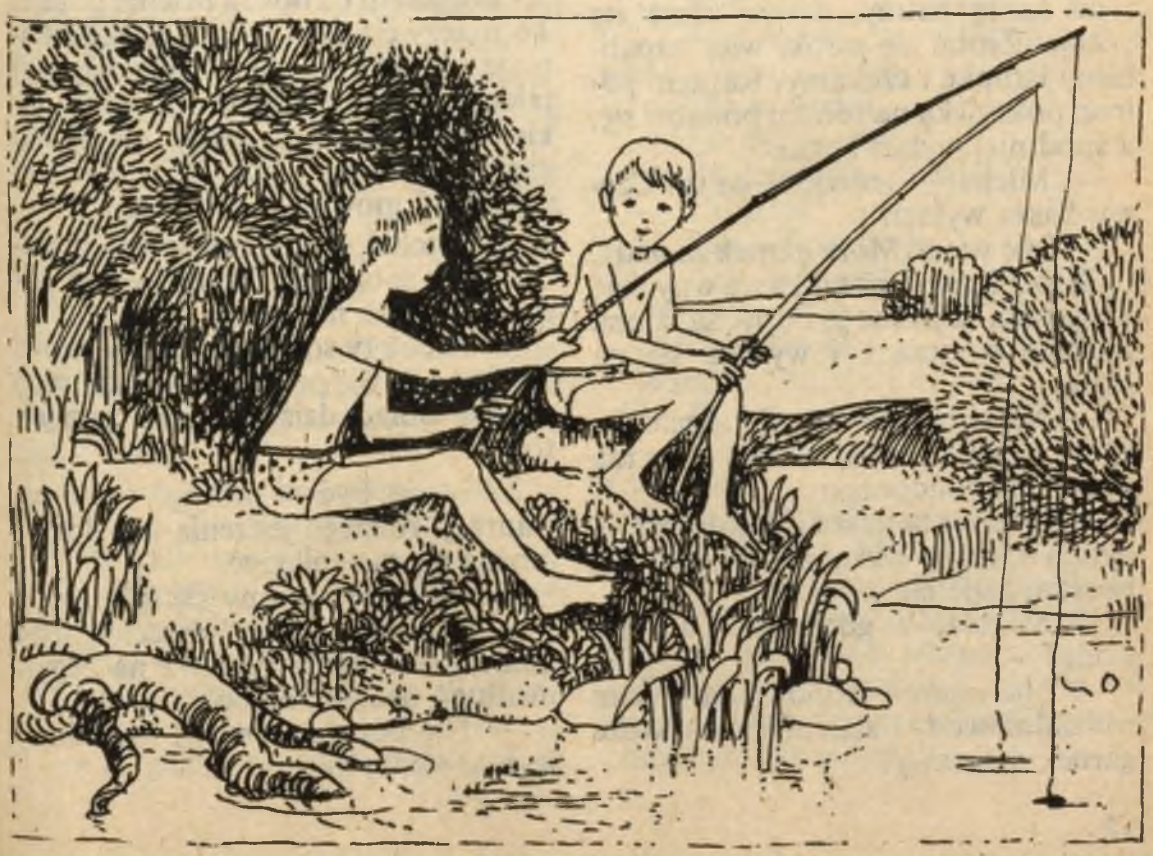

Nakroiliśmy chleba, posmarowaliśmy go powidłami i poszliśmy nad rzekę. Najpierw wykąpaliśmy się a potem położyliśmy na piasku. Chleb z powidłami bardzo nam smakował. Później zaczęliśmy łowić ryby. Ale źle brały: złowiliśmy wszystkiego kilka kiełbi. Cały dzień spędziliśmy nad rzeką. Przed wieczorem głodni wróciliśmy do domu.

— No, Michał — mówię — bierzmy się do gotowania. Tylko tak raz dwa, bo chce mi się jeść.

— Ugotujemy kaszę — mówi Michał. — Kaszę ugotować najłatwiej.

Rozpaliliśmy ogień. Michał nasypał kaszy do garnka.

— Nasyp więcej, bo jestem strasznie głodny — mówię do niego.

Michał nasypał prawie pełen garnek i zalał wodą do pełna.

— Czy nie za dużo wody? Zrobi się z tego papaja.

— Pilnuj ognia pod blachą — mówi Michał — już ja wiem, co robię.

Dokładam drew i dokładam, a Michał gotuje. Właściwie to tylko siedzi i na kaszę patrzy, a ona sama się gotuje. Zrobił się mrok, więc zapaliliśmy lampkę i czekamy. Raptem patrzę: pokrywka na rondlu podnosi się, a spod niej wyłazi kasza.

— Michał — mówię — co to? Czemu kasza wyłazi?

— Nie wiem. Może garnek za mały.

Złapał łyżkę i zaczął kaszę wpychać do garnka. Upycha ją i upycha, a ona puchnie w oczach i wylewa się na płytę.

— Nie wiem, co się z tą kaszą dzieje — mówi Michał. — Pierwszy raz widzę coś podobnego.

— A może ta kasza już gotowa? — pytam i biorę łyżkę. Ale kasza jest twarda, zupełnie surowa.

— Miszka, a gdzie podziała się woda?

— Nie wiem — odpowiada — sam widziałeś, wody nalałem sporo. Może garnek dziurawy?

Obejrzeliśmy naczynie, ale żadnej dziury w nim nie było.

— Widocznie woda wyparowała — mówi Michał. — Trzeba dolać.

Ujął kaszy z garnka i dolał wody. Czekamy, czekamy, a tu znowu kasza wypycha się spod pokrywki.

— A niechże cię! — woła Michał. Ujął znowu kaszy i znowu dolał wody. — Myślałeś — mówi — że wody za dużo, a tu widzisz: trzeba dolać.

Czekamy dalej i co za komedia: kasza z garnka znów wyłazi.

— Michał — mówię — pewnie za dużo kaszy nasypałeś. Teraz jej za ciasno.

— Możliwe — mówi Michał. — Ale to twoja wina, wołałeś, żeby sypać więcej, boś taki głodny.

— Powinieneś wiedzieć, ile można nasypać. Przecież mówiłeś, że potrafisz gotować.

— Mówiłem i ugotuję, tylko mi nie przeszkadzaj.

— Proszę bardzo — mówię — mogę nie przeszkadzać.

Odszedłem na bok, a Michał gotuje. To znaczy ciągle wyłażącą kaszę odejmuje z garnka na talerze. Już cały stół talerzami z kaszą zastawił. Jak w jakiejś restauracji. I wody ciągle do garnka dolewa. Nie wytrzymałem wreszcie i mówię:

— Michał, ty coś pokręciłeś. Przecież tym sposobem kasza będzie gotowa dopiero na jutro.

— A cóż ty sobie myślisz — mówi Michał. — W porządnej restauracji zawsze obiad dziś na jutro przygotowują.

— Może być — mówię. — W restauracji różnego jedzenia jest dosyć, można się nie spieszyć.

— I my nie musimy się spieszyć.

— Musimy. Trzeba przecież zjeść kolację i iść spać. Popatrz na zegar: niedługo będzie północ.

— Nie bój się — mówi Michał — jeszcze się wyśpisz.

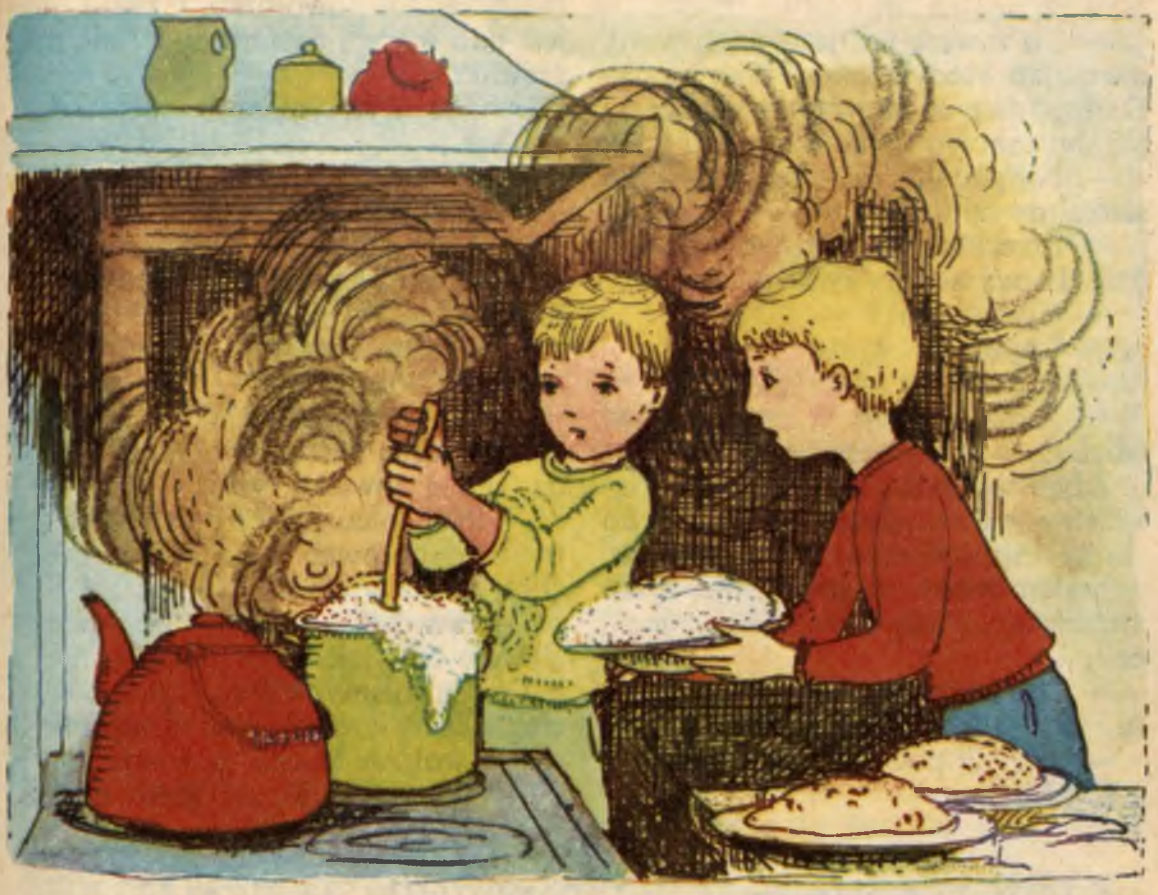

I znowu: chlup! kubek wody do garnka. Wtedy mnie jakby olśniło:

— Michał — mówię — przecież ty ciągle zimnej wody dolewasz. Jakże to może się zagotować?

— A ty byś jak chciał? Bez wody?

— Według mnie — mówię — trzeba od razu połowę kaszy ująć, nalać wody i niech się gotuje.

Wziąłem garnek, ująłem kaszy i mówię Michałowi, żeby lał wodę. Michał zanurzył kubek w wiadrze i nagle okazało się, że wody w wiadrze już nie ma.

— Cóż teraz będziemy robić? — pytam. — Na dworze ciemno. Do studni trafić trudno.

— Głupstwo — mówi Michał. — Woda zaraz będzie.

Wziął wiadro, przywiązał do niego sznurek i poszedł do studni. Po chwili wraca.

— A gdzie woda? — pytam.

— W studni.

— Sam wiem, że w studni. Ale gdzie wiadro z wodą?

— Też w studni.

— Jak to: w studni?

— Zwyczajnie: w studni.

— Utopiłeś?

— Samo się utopiło.

— Ach, ty niezdaro! — mówię. — Czym teraz wody nabrać?

— Czajnikiem.

Wziąłem czajnik i mówię:

— Dawaj sznurek.

— Nie mam go. Utopił się razem z wiadrem.

Zaczęliśmy szukać innego sznurka. Nie znaleźliśmy. Michał mówi:

— Pójdę po sznurek do sąsiadów.

— Jeszcze czego! Spojrzyj na zegarek. Przecież tam wszyscy śpią.

W tej chwili zachciało mi się tak strasznie pić, że za szklankę wody oddałbym nie wiem co.

A Michał na to:

— To zawsze tak jest: jeżeli wody nie ma, to wtedy strasznie chce się pić. Dlatego na pustyni wszystkim chce się pić, bo tam wody nie ma.

— Nie gadaj tyle — mówię — tylko szukajmy sznurka.

— Przecież szukaliśmy go już wszędzie. Lepiej weźmy żyłkę od wędki.

— A wytrzyma?

— Chyba wytrzyma.

— A jeżeli nie wytrzyma?

— Jeżeli nie wytrzyma — mówi Michał — to się oberwie.

Zdjęliśmy żyłkę z wędki, przywiązaliśmy ją do czajnika i poszliśmy do studni. Spuściłem ostrożnie czajnik, nabrałem wody, ciągnę. Czuję: żyłka naprężyła się jak struna. Już... już... pęknie.

— Nie wytrzyma — mówię — czuję to.

— Ciągnij powoli, to wytrzyma — mówi Michał.

Wyciągam powolutku. Czajnik już jest nad wodą i raptem buch: nie ma czajnika.

— Nie wytrzymała — stwierdza Michał.

— Czym teraz nabierzemy wody?

— Kociołkiem.

— Nie — mówię — to już lepiej od razu wrzucić kociołek do wody. Prędzej będzie.

— To rondlem.

— Też utonie.

— No, to szklanką.

— Ładnie byśmy wyglądali. Szkoda, że nie powiesz: łyżką.

— No, to co robić? Przecież kaszę trzeba dogotować. I pić już tak mi się chce, że nie wiem co.

— Przynieś — mówię — kubek. Zawsze on większy od szklanki.

Obwiązaliśmy kubek żyłką. Wyciągnęliśmy wreszcie wody i napiliśmy się do woli. A Michał powiada:

— To zawsze tak jest: kiedy nie ma

wody, to wydaje ci się, że wypiłbyś jej całe morze. A jak jest, to zaczniesz pić i okazuje się, że ci szklanka zupełnie wystarczy. Taka to już chciwość siedzi w człowieku.

— Nie ma co opowiadać — mówię — tylko przynoś garnek z kaszą. Nalejemy wody wprost do niego, żeby nie latać dwadzieścia razy.

Michał przyniósł garnek i postawił na brzegu studni, a ja niechcący zaczepiłem go łokciem i o mały włos wszystka kasza poleciałaby do studni. Ale wreszcie wody nalaliśmy i wróciliśmy do domu.

W piecu tymczasem zgasło i trzeba było rozpalać ogień na nowo. Zaczęliśmy gotować kaszę od początku. Po jakimś czasie zrobiła się gęsta i zaczęła puszczać bańki: pyk! pyk...

— Oho! — mówi Michał — kasza już gotowa. Czuję, że będzie wspaniała.

Wziąłem łyżkę, spróbowałem... Tfu!!! Cóż to za kasza? Gorzka, niesłona i zalatuje spalenizną. Michał też spróbował i też wypluł.

— Nie — mówię — wolę z głodu umrzeć, a takiej kaszy jeść nie będę.

— Taką kaszą otruć się można na śmierć — powiedział mój kolega.

— Co robić?

— A może ryby usmażymy? Przecież mamy z dziesięć kiełbi. Usmażymy je raz dwa.

— Jeżeli raz dwa, to dobrze — mówię. — A jeżeli tak będzie jak z kaszą, to lepiej nie zaczynać.

— Będzie piorunem, zobaczysz.

Michał rzeczywiście błyskawicznie oczyścił rybki i ułożył je na patelni. Patelnia rozgrzała się i rybki przylgnęły do niej. Trzeba je było nożem oddzielać.

— I co z ciebie za kucharz — mówię — któż to ryby bez tłuszczu smaży?

Michał wziął butelkę z olejem. Podlał ryby i wsunął patelnię prosto na węgle, żeby było prędzej. Olej zaskwierczał i nagle jak nie wybuchnie ogniem! Michał wyciągnął patelnię, ale olej pali się na niej jak nie wiem co. Chciałem zalać wodą, ale przecież nie było jej ani kropli. Olej palił się dotąd, dopóki nie wypalił się wszystek. W domu aż gęsto od dymu, a po rybkach tylko węgielki zostały.

— No — mówi Michał — co będziemy teraz gotować?

— Dosyć — mówię — tego dobrego. Nie tylko jedzenie psujesz, ale jeszcze i pożar urządzisz. Więcej już gotować nie będziemy.

— Ale przecież jeść się chce.

Spróbowaliśmy cebuli — piecze. Spróbowaliśmy oleju: bez chleba mdli. Znaleźliśmy słoik z odrobiną powideł na dnie. Wylizaliśmy go i poszliśmy spać.

Rano obudziliśmy się głodni. Michał od razu sięgnął do kaszy, żeby ją gotować. Nie dopuściłem do tego.

— Ani mi się waż — mówię. — Pójdę zaraz do sąsiadki i poproszę, żeby ona coś nam ugotowała.

Poszliśmy do sąsiadki, ciotki Anastazji. Opowiedzieliśmy jej wszystko. Obiecaliśmy, że wyrwiemy jej wszystkie chwasty z ogródka, aby tylko przyrządziła nam coś do jedzenia. Ulitowała się nad nami. Napoiła nas mlekiem i zaprosiła na śniadanie. Jedliśmy i jedliśmy i nie mogliśmy się najeść. A malutkie dzieci ciotki przyglądały się nam okrągłymi oczami.

Wreszcie najedliśmy się do syta. Ciotka dała nam sznur z haczykiem i poszliśmy wyciągać ze studni utopione naczynia. Nie było to wcale łatwe, ale na końcu wyciągnęliśmy i wiadro, i czajnik. Potem poszliśmy do ogrodu ciotki pleć warzywa.

— Chwasty wyrywać — mówił Michał — to głupstwo. Robota nietrudna, o wiele łatwiejsza niż gotowanie kaszy!

Według Nikołaja Nosowa
oprac. Hanna Ożogowska
Rys. Maria Mackiewicz

WIOSNA

ma kaczeńce w oczach
i suknię z sasanek
i wiatr we włosach

chodzi ze słońcem
maluje ogrody i łąki
i nad nami
śpiewa w chórze z ptakami

Barbara Jurkowska

JEŻ

idzie idzie jeż
tysiąc igieł ma na grzbiecie
a na każdej
kropla świeci
pada pada deszcz
idzie srebrny jeż

Teresa Jaskierny

KOTY ROSNĄ NA DRZEWACH

Rosną koty na drzewach,
Sen zielony dojrzewa.
Co się z niego wysypie?
Może deszczowy lipiec
Albo melodia skrzypiec?

Grzegorz Walczak

CO SIĘ KOTU ŚNI?

Co się śni kotu, kiedy śpi?
Może myszy?
A może my?
Że też jesteśmy kotami,
że chodzimy po płotach i drzewach.
Tylko — kto wtedy kotu mleka nalewa?

Ewa Zawistowska

BAJKA

To jest sieć złota,
a w niej rybka,
która chce żyć
wygodnie w akwarium,
nie mówić ludzkim głosem
i przyjmować ukłony kotów.

Dimitrina Lau-Bukowska

CIEKAWOŚĆ

Dokąd odchodza godziny
ile zostawiają po sobie śladów
czy można znaleźć je jeszcze na tarczy zegarów?

Dokąd minuty odchodzą
minutowym krokiem
dlaczego nie można dojrzeć ich z okien?

Dokąd biegną sekundy
ułamki czasu zdyszane
i kto zamyka za nimi bramę?

Grażyna Banaszkiewicz
Rys. Wanda Orlińska

DESECZKA

Patrycja jest z pewnością najchudszą dziewczyną nie tylko w naszej klasie, ale w całej szkole. Przypuszczam nawet, że to w ogóle najchudsza dziewczyna na świecie.

Przyszła do nas w połowie roku. Kiedy weszła do klasy, wyglądała, jakby była dwuwymiarowa. I jeszcze ten długi nos.

Ryknęliśmy śmiechem.

— Spokój! Co to ma znaczyć! — zawołała gniewnie pani i uderzyła linijką w blat stolika.

— Nie szkodzi, niech się pośmieją — powiedziała nowa.

I wtedy zaraz przestaliśmy.

Nazwaliśmy ją „Deseczka", co przyjęła z zadowoleniem.

— Bałam się, że wymyślicie dla mnie coś znacznie gorszego. Moglibyście przecież mówić na mnie „Tyka" albo nawet, nie daj Boże, „Szczapa". Tego bym już chyba nie zniosła!

Dziewczyny w naszej klasie zamartwiały się każda z innego powodu. Magda — bo była piegowata, Jolka uważała, że ma za grube nogi, Hanka — że jest za mała...

A „Deseczka" zupełnie nie przejmowała się swoim wyglądem. Była zazwyczaj w doskonałym humorze, który zresztą udzielał się innym.

Zobaczyła ją kiedyś mama Grzesia, która codziennie przychodziła po swoją pociechę, jakby to był przedszkolak, a nie uczeń czwartej klasy.

Popatrzyła na Patrycję i powiedziała z troską w głosie.

— Ojej! Dlaczego ty jesteś taka chuda, moje dziecko!

A „Deseczka" bardzo grzecznym głosikiem:

— Bo ja mam zamiar zostać modelką, proszę pani.

Mama Grzesia otworzyła szeroko usta i miała niezbyt mądrą minę.

Nasza pani wychowawczyni, która była świadkiem tej sceny, powiedziała później do Patrycji:

— Myślę, że niezupełnie grzecznie się zachowałaś.

— A ja myślę, że to ona niezupełnie grzecznie się zachowała, proszę pani. A gdybym była kulawa albo garbata, czy też by mnie zapytała, dlaczego?

Pani uśmiechnęła się trochę niepewnie.

— Może nawet masz trochę racji, kochanie. Ale musisz pamiętać, że kiedy mówisz do osoby dorosłej, powinnaś być zawsze grzeczniejsza niż ona.

— Tak. Wiem o tym. Ale ja naprawdę chciałabym zostać modelką — powiedziała „Deseczka" i uśmiechnęła się marząco. — Była przecież kiedyś taka bardzo chuda dziewczyna, Twiggy, prawda?

— Rzeczywiście, była — powiedziała pani rozbawiona. — Potem zresztą trochę utyła.

— Ale jako chudzielec bardziej się podobała.

— Tylko, że nie miała takiego długiego nosa — wtrąciła złośliwie Tośka, która od jakiegoś czasu przysłuchiwała się rozmowie.

— Piękna Helena, o której zapewne słyszałaś — zwróciła się do niej pani — też miała trochę za długi nos. Także władczyni Egiptu, Kleopatra. A przecież uchodziła za najpiękniejszą kobietę świata.

Patrycja popatrzyła triumfalnie na Tośkę.

— Co nie znaczy, że musisz zaraz zadzierać nosa — dodała pani. Tym razem to było do „Deseczki".

„Deseczka" roześmiała się.

— To duża sztuka — powiedziała pani — umieć śmiać się z samego siebie.

Wanda Osuchowska-Orłowska

SPECJALNIE DLA „PŁOMYCZKA" Z HOLANDII

MADURODAM — miniaturowe miasto

„Przyjdź do Madurodamu, a poznasz Holandię w ciągu godziny" — głosi slogan reklamowy. I nie ma w tym za wiele przesady, bo Madurodam to nie tylko miniaturowe miasteczko, to jakby miniatura Holandii. Nie wszystkim turystom uda się zwiedzić cały kraj, ale każdy może obejrzeć najciekawsze jego obiekty w stolicy Holandii, w Hadze. Bo właśnie tutaj wybudowano Madurodam, do którego prowadzą drogowskazy ze wszystkich stron miasta.

Na niewielkim terenie 18 000 m² (to obszar jakby trzech boisk do piłki nożnej) odtworzono w skali 1:25 sto kilkadziesiąt charakterystycznych dla Holandii budowli. Są tu stare zamki i pałace, stare katedry i domy. Są nowoczesne zakłady przemysłowe, tereny sportowe, autostrady i linie kolejowe, kanały, porty i śluzy, a nawet lotnisko i oczyszczalnia ścieków.

Nie brak też oczywiście najbardziej holenderskich elementów krajobrazu, to znaczy wiatraków i najbardziej holenderskich roślin, czyli kwiatów. Każdej wiosny zakwita tu między alejkami 15 tysięcy tulipanów, hiacyntów, żonkili.

Od zmroku całe to minimiasto oświetlone jest przez ponad 50 000 miniaturowych latarni odbijających się w wodzie kanałów i basenów portowych. Oświetlone są również wnętrza budynków.

Nie mogłam tego zobaczyć, bo zwiedzałam Madurodam w ciągu dnia, ale za to słyszałam nadawane przez megafony na lotnisku komunikaty o odlotach i przylotach samolotów z całego świata, a także muzykę dobiegającą z wnętrza katedry. Najdłużej przyglądałam się chyba śluzowaniu statków na miniśluzie oraz miniaturowym drzewom i krzewom hodowanym w ten sposób, aby ich wielkość była dostosowana do otaczających je budowli.

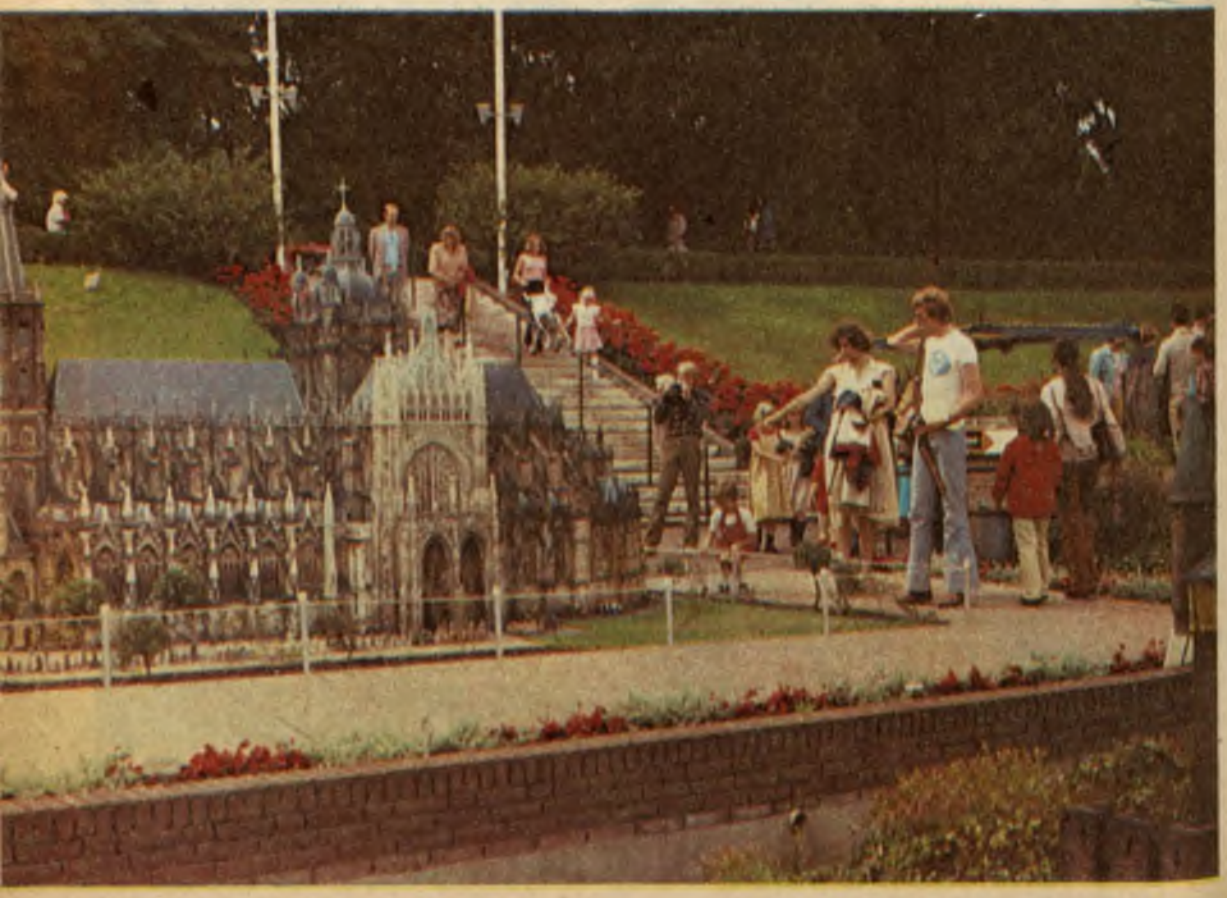

Jak powstał Madurodam?

Pomysł wybudowania minimiasteczka zrodził się w r. 1950 wśród holenderskich studentów. Szukali oni funduszy na działalność sanatoriów studenckich. Idea ta zyskała poparcie wielu instytucji w kraju i za granicą, a władze Hagi przydzieliły potrzebny teren. Największy jednak wkład finansowy w budowę miasteczka wnieśli państwo Maduro, rodzice Georga Maduro, byłego studenta uniwersytetu w Lejdzie, potem oficera wojsk holenderskich, zamordowanego przez Niemców w obozie w Dachau. Tablica pamiątkowa z jego popiersiem znajduje się przy wejściu do Madurodamu.

2 lipca 1952 r. holenderska królowa Beatrix dokonała uroczystego otwarcia tego miniaturowego miasteczka. Od tego czasu Madurodam przyciąga nieprzerwanie tłumy zwiedzających. Dochody z biletów wstępu przeznaczone są na pomoc dla różnych organizacji młodzieżowych, w szczególności dla młodzieży i dzieci niepełnosprawnych.

Od 1972 r. Madurodam jest członkiem Stowarzyszenia Miast Holenderskich i ma swoje wybieralne władze. W skład Rady Miejskiej wchodzi trzydzieścioro dziewcząt i chłopców wybieranych spośród uczniów szkół z Hagi.

Tekst i fot. Maria Czernik

DBAJMY O ZĘBY (3)

Prosty ząb

Nazwa „ortodoncja" wywodzi się z połączenia dwóch greckich słów „orthos" — prosty i „odus" — ząb.

Na podstawie badań wykopaliskowych stwierdzono, że leczenie różnych wad zgryzu, a szczególnie prostowanie krzywo ustawionych zębów wykonywano już w V-IV w. p.n.e. Natomiast pierwsze wzmianki dotyczące ortodoncji można znaleźć w księdze VI Hipokratesa „O epidemiach" (Hipokrates 460—377 p.n.e.).

W Polsce co 3—4 dziecko ma wady w uzębieniu, wrodzone bądź nabyte. Na podstawie badań stwierdzono, że 76% wad zgryzu — to wady nabyte, a tylko 24% to wady wrodzone.

20% wad zgryzu powstaje z powodu próchnicy zębów. Nie leczone zęby, zarówno mleczne jak i stałe, trzeba czasem usuwać, wówczas powstają wolne miejsca i pozostałe zęby przesuwają się we wszystkich kierunkach.

Ponadto ujemnie wpływają na nasz zgryz następujące czynniki:

— **nieprawidłowe żucie**, które jest spowodowane np. bólem zęba. Zamiast szybko iść do lekarza, staramy się uniknąć bólu, gryząc pokarm stroną przeciwną — zdrową. Takie dłuższe zachowanie wystarcza, aby doprowadzić do zmian w układzie zębów;

— **różne niedobre nawyki**, jak: ssanie palca, gryzienie ołówka, lub długopisu, wciąganie policzków między zęby, a także ogryzanie paznokci.

Na skutek tych czynności następuje deformacja szczęk, ponieważ kości są jeszcze nie uformowane (słabo uwapnione) i bardzo łatwo ulegają zmianom;

— **nawykowe oddychanie przez usta**, które m. in. wpływa na złe, utrwalające się ułożenie szczęk. Wiotczeją również mięśnie twarzy i języka, a usta pozostają rozwarte. W następstwie tego węch ulega przytępieniu, mowa staje się nosowa, następuje upośledzenie słuchu i częste zapalenie ucha środkowego. W przypadku widocznych wad w uzębieniu należy zgłosić się do lekarza ortodonty.

Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że leczenie ortodontyczne jest długotrwałe i wymaga dużej dyscypliny, ale efekty kuracji na pewno będą widoczne. Nikt nie powinien wstydzić się noszenia aparatu ortodontycznego. Ktoś, kto ma wadę wzroku, nosi przecież okulary, a ktoś inny ma wadę zgryzu i musi nosić aparat.

Często w rozmowie z pacjentami, którzy nie chcą nosić aparatu, lekarz dowiaduje się, że jedyną przyczyną jest to, że „koledzy się ze mnie śmieją".

Moi drodzy, koledzy mogą śmiać się ze wszystkiego, i tak w końcu im się to znudzi.

Leczenie ortodontyczne daje dobre efekty tylko wtedy, gdy zaczyna się je wcześnie i gdy pacjent stosuje się ściśle do zaleceń lekarza. Przy wczesnym leczeniu nie zawsze potrzebne są aparaty noszone stale, czasami wystarczają tylko zakładane na noc, lub specjalne ćwiczenia zalecone przez lekarza ortodontę.

Ewa Borowiecka-Maciaszczyk

Dzieci przebadane ortodontycznie w Polsce w 1985 r.			
zbadano profilakt.	wśród przebadanych wymaga leczenia	wyleczonych	
		z aparatem	bez aparatu
521.432	307.966	21.186	24.844

Skutki złego zgryzu:
— nieprawidłowa wymowa
— gorsze trawienie
— łatwiejsze przeziębianie się
— brzydki wygląd

WĘŻE

Obrzydzenie, jakie często wzbudzają u ludzi węże, ma swoje źródło w bezpodstawnym przekonaniu, że są one oślizgłe, lepkie, czyli... no, właśnie: obrzydliwe. Ależ nic podobnego! Ich pokryta łuskami skóra jest sucha, gładka i przyjemna w dotyku. Doprawdy, nie ma w niej niczego obrzydliwego. Musicie też wiedzieć, że wyrabiane ze skór wężowych buty i torebki są uważane za niezwykle eleganckie i dlatego są bardzo drogie.

Czy wąż ma ogon?

Wprawdzie wąż wygląda jak ozdobiony głową ogon, ale chyba nikt nie sądzi, że tak jest naprawdę. Budowa węża jest taka sama jak i innych kręgowców. Mają więc one głowę, tułów, w którym mieszczą się wszystkie narządy wewnętrzne, takie jak serce, płuca, żołądek, jelita itd., oraz właśnie ogon. Stanowi go ostatni odcinek bardzo długiego, dłuższego niż u innych zwierząt kręgosłupa. Nic dziwnego, że trudno go od razu wyróżnić, bo przecież ciało węża jest długie i obłe.

Wężom, które lubią się wspinać, ogon służy jako doskonały narząd czepny. U węży morskich ogon jest silnie spłaszczony i przypomina nieco wiosło, co ułatwia im sprawne poruszanie się w wodzie.

Po co wężowi długi język?

Najlepiej rozwiniętymi zmysłami węży są węch i smak. Ale nie wyobrażajcie sobie, że wąż, na wzór psa, sunie z nosem przy ziemi i czujnie węszy. Zamiast tego posługuje się właśnie językiem. Jest on stale wsuwany i wysuwany z „paszczy". Za każdym razem, gdy wąż język chowa, jego rozdwojone końce wsuwają się do umieszczonych na podniebieniu dwóch małych otworków. Otworki te stanowią zakończenie specjalnych narządów węchowych. W taki to sposób węże badają otoczenie, a wszelkie podejrzenia, że język węża zawiera jad, należy włożyć między bajki.

Gdzie żyją węże?

Węże są zwierzętami zmiennocieplnymi, co oznacza, że temperatura ich ciała jest zależna od temperatury otoczenia. Im zimniej robi się dookoła, tym bardziej spada ciepłota ciała węża, aż wreszcie zwierzę zapada w odrętwienie. Dlatego gady te nie mogą żyć tam, gdzie jest zbyt zimno, np. na biegunach. Oczywiście, najwięcej gatunków węży występuje w ciepłych, tropikalnych krajach, a w strefie umiarkowanej znacznie mniej.

Węże opanowały najrozmaitsze środowiska: występują w lasach, i to zarówno nisko, wśród podszycia i krzewów, jak i na drzewach, przystosowały się także do życia na pustyniach, stepach i sawannach. Spotkać je można również na mokradłach oraz w wodach słodkich i słonych: rzekach, jeziorach, morzach i oceanach. Istnieją i takie gatunki, które żyją pod ziemią, gdzie potrafią ryć długie korytarze. W zależności od środowiska, w jakim żyją, węże prowadzą różny tryb życia: pływają, skaczą, wspinają się na drzewa itd.

Olbrzymy czy mikrusy?

Pod względem wielkości węże stanowią niejednolitą grupę zwierząt. Jeden z najmniejszych gatunków węży mierzy zaledwie 10 cm i występuje na Madagaskarze. Do największych należą osnute legendą pytony, osiągające długość 10 metrów (a podobno trafiają się i większe okazy). Najjadowitsze i budzące największą grozę węże zajmują pod względem wielkości miejsce pośrednie, bo mierzą przeciętnie od 1,5 do 3 metrów.

Co jadają węże?

Węże są znakomitymi łowcami, zręcznie polującymi na rozmaite stworzenia. Zjadają owady, ślimaki, ryby, żaby, jaszczurki, ptaki i ich jaja oraz większe i mniejsze ssaki. Jadłospis węża zależy oczywiście od jego gatunku.

1

Rys. 1
Rozdwojony język węża wygląda groźnie, ale nie zawiera jadu
Rys. 2
Wąż nie potrafi rozgryźć pokarmu i połyka zdobycz w całości
Rys. 3
Samica pytona „wysiaduje jaja" owinąwszy się wokół nich

Inny rodzaj pokarmu dostępny jest przecież dla mieszkańców mórz, inny dla mieszkańców pustyń. Co innego schwytać może mały, mizerny wężyk, a co innego pokaźnych rozmiarów dusiciel, prawda?

Węże starają się urozmaicać sobie menu, więc polują i na jaszczurki, i na małe ptaki. Istnieją jednak gatunki żywiące się wyłącznie jednym rodzajem pokarmu: np. jadają tylko jaja albo jedynie... węże, ale innego niż własny gatunku.

Czy wszystkie są jadowite?

Poznano około 2500 gatunków węży, z czego mniej więcej 1/5 przypada na węże jadowite. Różna jest siła ich jadu i w różny sposób działa on na organizm. Ukąszenie wielu gatunków węży jadowitych jest bardzo groźne dla życia człowieka. Np. po ukąszeniu przez tajpana lub kobrę, śmierć może nastąpić po upływie zaledwie kilkunastu minut. Ale istnieją również takie gatunki węży jadowitych, których ukąszenie nie jest ani bardziej bolesne, ani niebezpieczniejsze niż użądlenie przez osę.

Jad wężowy powstaje w specjalnych gruczołach mieszczących się w głowie. Mają one połączenie z zębami jadowymi, które różnią się od innych zębów, gdyż są zaopatrzone w rynienkowate zagłębienia lub wewnętrzny kanalik. Tą drogą jad spływa do rany.

Barwy: jaskrawe czy maskujące?

W toku ewolucji większość węży tak przystosowała się do otoczenia, że kolorem wprost zlewa się z tłem. Toteż gatunki żyjące na pustyniach są najczęściej płowe, na ziemi — brunatne, wśród drzew — zielone itd., a wszelkie plamy i desenie na skórze naśladują np. grę promieni słonecznych na podłożu. Dlatego nie jest łatwo je dostrzec. Istnieją jednak wyjątki od tej reguły: węże tak jaskrawo i kontrastowo ubarwione, że już z daleka rzucają się w oczy. W tym wypadku barwa pełni inną rolę: jest sygnałem ostrzegawczym, informującym, że wąż jest groźny i należy zostawić go w spokoju.

Jak się rozmnażają?

Rozwój młodych węży, tak jak i innych gadów, przebiega wewnątrz osłonek jajowych. Samica składa jaja w jakimś bezpiecznym i gwarantującym zarodkom właściwy rozwój miejscu. U jednych gatunków opieka nad potomstwem kończy się w tym miejscu i jaja pozostawiane są własnemu losowi. U innych samice czuwają w ich pobliżu, gotowe bronić swego potomstwa. Są one wtedy szczególnie niebezpieczne i agresywne. Samice kobry królewskiej i pewnych gatunków pytonów „wysiadują" jaja, tzn. owijają się własnym ciałem dookoła nich.

Istnieją i takie gatunki węży, które wydobywają się z osłon natychmiast po złożeniu jaj lub przychodzą na świat żywe. W tym ostatnim przypadku młode także rozwijały się w jajach, jednakże jaja te były ukryte w ciele samicy.

Tekst i rys. Anna Siwkiewicz

2

3

KIEDY TELEWIZJA BYŁA W POWIJAKACH

Idea telewizji wśród światłych Polaków jest stara jak świat. No, powiedzmy, ma więcej niż 100 lat.

Wybitny uczony z końca XIX wieku, Julian Ochorowicz, już w 1878 r. w lwowskim czasopiśmie „Kosmos" opublikował jeden z najwcześniejszych projektów telewizji. „Polski Edison", Jan Szczepanik, wynalazca, którego prace ekscytowały świat na przełomie XIX i XX wieku, opatentował projekt „telektroskopu", czyli aparatu do reprodukowania obrazów na odległość za pośrednictwem elektryczności. Bagatelka, w 1897 r.

Współczesny historyk amerykański Albert Abramson nazwał go ojcem telewizji. Rok później inny Polak, Kazimierz Prószyński zajął się także problemem „przesyłania obrazów na odległość". „Telefot" Prószyńskiego przewyższał pod względem konstrukcyjnym „telektroskop" Szczepanika. Wynalazki te nie znalazły zastosowania w praktyce, ponieważ wyprzedzały ówczesne możliwości techniczne, ale zapewniły ich autorom miejsce w historii telewizji.

Rozwiązania praktyczne zademonstrowali Polacy u schyłku lat dwudziestych. W r. 1929 inż. Stefan Manczarski otrzymał patent na „sposób telewizyjnego przesyłania obrazów za pośrednictwem drutu i radia". Wykonane przez niego urządzenie nadawczo-odbiorcze było demonstrowane na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu tegoż samego roku.

Dwa lata później aparaturę nadawczo-odbiorczą, opartą na systemie Bairda, skonstruował zespół inżynierów z Polskiego Radia w Katowicach, pod kierunkiem inż. Twardowa i Dyrnego. Stawiało to Polskę w rzędzie nielicznych krajów, które podjęły badania naukowe i eksperymentowały w tej dziedzinie.

Z okresu niemowlęcego wychodzi telewizja w Polsce w roku 1935. Zostało to odnotowane w miesięczniku pod dumnym tytułem: „Nowości Radiotechniczne — miesięcznik ilustrowany radiotechniki, TELEWIZJI i urządzeń dźwiękowych", który ogłosił, że rok 1935 zasługuje na miano ROKU TELEWIZJI", bo „doszło w bieżącym roku do tego, że telewizja opuszcza już mury laboratoriów, gdzie dotychczas chowała się skromnie, i przedostaje się do warsztatów fabrycznych".

Nie było to stwierdzenie gołosłowne. Systematyczne prace badawcze rozpoczęto w 1935 r. w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym w Warszawie. Zainicjował je prof.

Eksperymentalna Stacja Telewizyjna mieściła się w „Prudentialu" — dzisiejszym hotelu „Warszawa"

Janusz Groszkowski, ówczesny dyrektor Instytutu, a kierował nimi inż. Lesław Kędzierski. W rok później włączyło się Polskie Radio.

Stację nadawczą postanowiono zainstalować na 16 piętrze najwyższego wówczas budynku w stolicy przy pl. Napoleona, drapacza chmur, zwanego „Prudentialem" (obecnie hotel „Warszawa"). Prace posuwały się w tempie błyskawicznym. Instalację nadajników rozpoczęto w 1937 r., w październiku następnego roku uruchomiono ekperymentalną stację nadawczą, później przystąpiono do montażu konstrukcji wspierających 27-metrowe anteny. Prace prowadzone na tarasie dachowym na wysokości 60 metrów nad poziomem ulicy, zakończono w marcu 1939 r. Już jesienią 1938 r. ta ekperymentalna telewizyjna stacja nadawcza rozpoczęła nadawanie dla potrzeb badawczych filmów fabularnych. Pierwszym filmem, jaki mogli obejrzeć ówcześni telewidzowie, była „Barbara Radziwiłłówna" z Jadwigą Smosarską w roli głównej. I trzeba od razu powiedzieć, że jakość obrazu nie była zadowalająca. Najlepiej „wychodziły" zbliżenia, np. twarze ludzkie, bądź większe obiekty. Znacznie gorsza była jakość obrazu w przypadku dalszych planów i szerokich perspektyw. Zupełnie nieczytelne były napisy.

Kto oglądał te filmy, a później inne programy próbne?

Otóż wtedy telewizorów było bardzo niewiele. Jeden w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym przy ul. Ratuszowej, drugi w gmachu rozgłośni Polskiego Radia przy ul. Zielnej, trzeci w Urzędzie Telekomunikacji przy ul. Poznańskiej, oraz na Wystawie Radiowej w gmachu YMCA przy ul. Konopnickiej. Paru osobom z terenu Warszawy powierzono telewizory do domu dla obserwacji programów w celach badawczych. A więc nie można mówić o masowej widowni.

Warto wiedzieć, że w r. 1940 Polskie Radio miało przystąpić do budowy pierwszego studia wyposażonego w aparaturę firmy Marconiego. Poważnie zaawansowane były prace nad konstrukcją pierwszej polskiej kamery telewizyjnej. Miała być gotowa również w 1940 roku. W ten sposób w 1941 roku rozpoczęłaby się w kraju normalna działalność telewizji, podobnie jak wcześniej w Anglii, Niemczech, Francji, ZSRR, USA i Japonii.

Wybuch II wojny światowej przerwał te arcyciekawe eksperymenty. Aparatura dostała się w ręce Niemców, pracownicy Stacji Telewizyjnej rozproszyli się po świecie.

Po wojnie próby i eksperymenty wznowiono.

Józef Zięba
Fot. KAW

Aparatura nadawczo-odbiorcza systemu Bairda

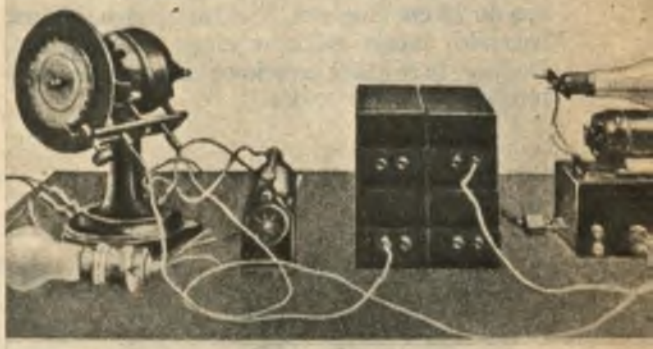

Aparatura inż. S Manczarskiego (r. 1929) Odbiornik telewizyjny z Laboratorium Doświadczalnego Stacji Telewizyjnej PR w Warszawie

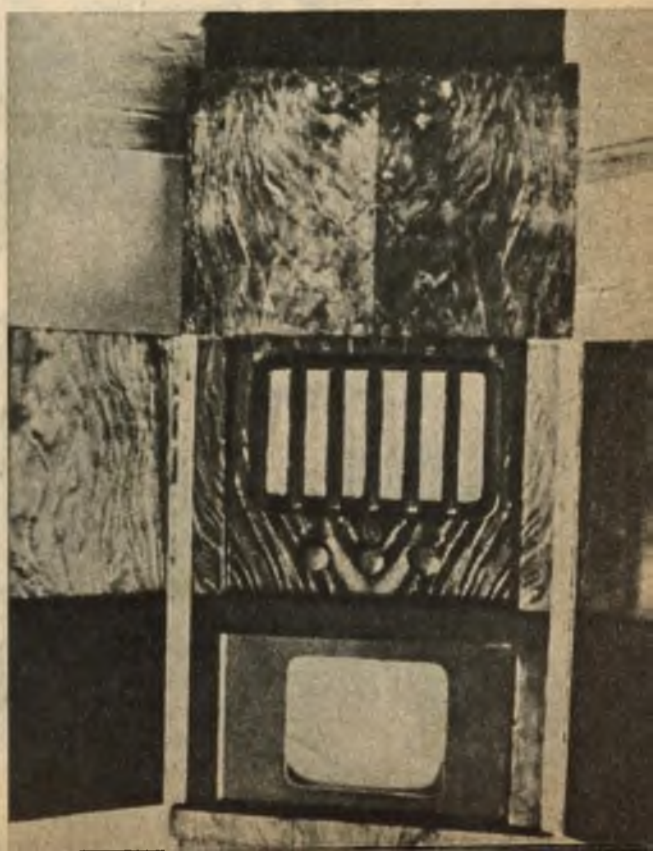

Bogactwo nocy (3)

Jedną z grup motyli nocnych są zawisaki. Mają one zdolność szybkiego latania, nektar z kwiatów pobierają zawisając w powietrzu i sięgając długą ssawką do środka kielicha. Ssawki tych motyli bywają dłuższe niekiedy kilkakrotnie od długości ich ciała, a u jednego z południowoamerykańskich gatunków dochodzą do 28 cm długości. Niektóre z nich, jak np. fruczaki, latają tylko w ciągu ciepłych dni. Dotyczy to również częściowo zmrocznika przytuliaka i wilczomleczka.

Zawisaki — to motyle pięknie ubarwione, tak w stadium uskrzydlonym, jak i w stadium gąsienic. Cechą główną tych motyli jest kształt skrzydeł i ciała, ułatwiający szybki lot i umiejętność nagłego znikania z oczu obserwatora. Umożliwiają im to silne mięśnie skrzydeł, którymi uderzają o powietrze niekiedy, jak np. fruczaki, do 5000 razy na minutę. Skrzydła ich, szybko wibrując, stwarzają wrażenie barwnej mgły.

Jako świetni lotnicy zawisaki przebywają

niejednokrotnie wielkie przestrzenie dla znalezienia roślin żywicielskich dla swoich gąsienic, a niektóre z nich, jak furczak, zalatują do nas wiosną z Afryki i południa Europy, uzupełniając miejscową populację. Gdy u nas nadchodzi zima, wracają na południe.

Do gatunków nie zimujących u nas w żadnym stadium należy powojowiec, który przylatuje do nas wiosną, rozmnaża się i wraca w końcu lata do pierwotnych lęgowisk.

Prawie wszystkie gąsienice tej grupy motyli odróżniają się od innych wyraźnie widocznym, twardym wyrostkiem w kształcie kolca lub zagiętego rogu na tylnej części ciała. Wszystkie, interesująco ubarwione, mają czasem barwę odstraszającą, niekiedy zaś upodobnioną do roślin żywicielskich. Żerują na drzewach, krzewach i roślinach zielnych. Niektóre gatunki, jak np. zmrocznik gładysz czy przytuliak, mają gąsienice zmiennie ubarwione, od jasnozielonych (gładysz) lub żółtawobrązowych (przytuliak) do ciemno, niekiedy czarnobrązowych. Gąsienice różnią się charakterystycznym dla każdego gatunku uplamieniem. Przed przepoczwarczeniem budują luźne oprzędy płytko w ziemi lub pod ściółką i tam, prócz fruczaka gołąbka, zimują w stadium poczwarki.

Zawisaki należą do owadów pożytecznych, zapylają bowiem kwiaty wielu roślin. Nazwa „Sfinksy", nadana im oraz grupom pokrewnym, pochodzi od kształtu zaniepokojonej gąsienicy zawisaka tawulca, co uwidocznione zostało na rysunku.

Tekst i rys. Jerzy Heintze

Czy znasz polskie miasta?

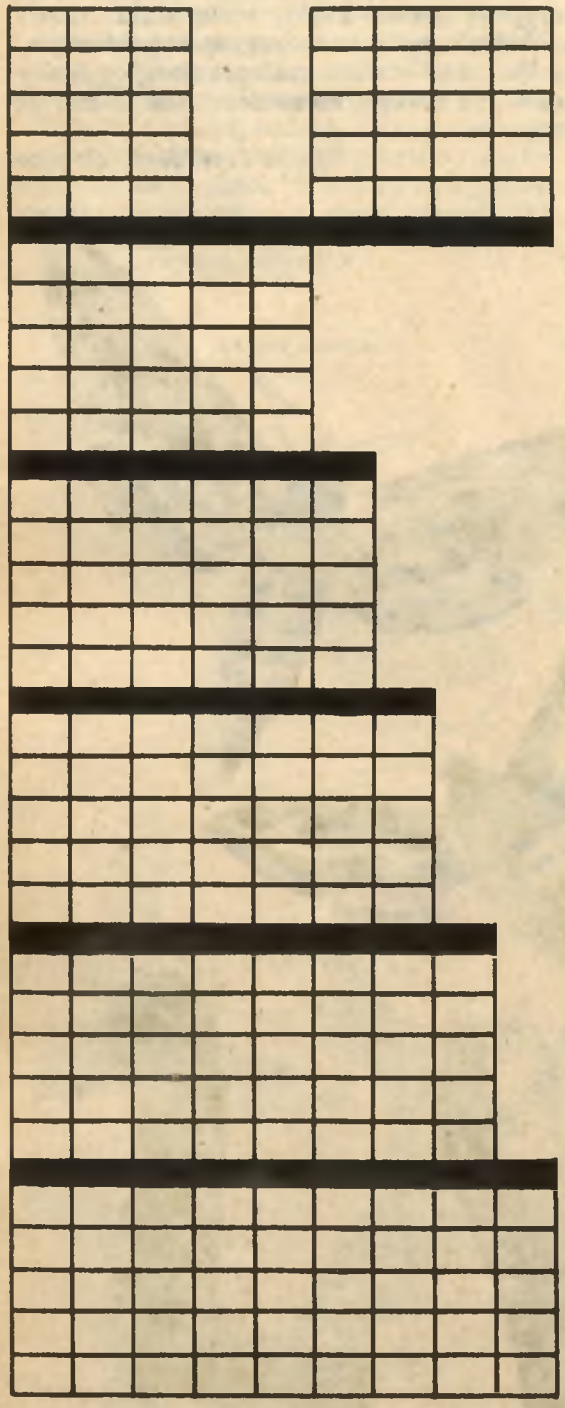

Nasza zgadywanka-zabawa związana jest z nazwami miast w Polsce. Jak wiecie, nazwy miast składają się z liter. Bywa tak, że duże miasta, jak np. Łódź, mają w nazwie bardzo mało liter, a małe miasta, jak na przykład Mysłakowice, znacznie więcej. Nie ma to większego znaczenia dla tych miast, natomiast odgrywa pewną rolę w naszej zgadywance.

Spróbujcie wyszukać na mapie lub wymienić z pamięci nazwy odpowiednich miast w Polsce, żeby, biorąc pod uwagę liczbę liter w nazwie, można je było wpisać w wolne kratki. Można również urządzić zabawę polegającą na tym, żeby np. w ciągu pięciu minut wpisać możliwie najwięcej nazw miast, z wyznaczoną liczbą liter w nazwie.

Jakie to miasta?

Pierwsze spotkasz nad Wartą,
drugie nad Odrą leży,
pierwsze i drugie razem
znajdziesz u naszych wybrzeży.

Dziwny szczyt

Wśród karkonoskich szczytów
jest jeden taki szczyt,
że gdy literę w nim zmienisz
spojrzysz, a szczyt już znikł...
Lecz nowy wyraz ze szczytu
dba, by nie błądził nikt,
więc chętnie nas prowadzi
na każdy górski szczyt.

Zagadki

Płynie do Wisły rzeka,
nie duża i nie mała,
pierwszą literę zgubiła
i z rzeki kra została.

NILDOM — to nie rzeka i dom
ani słowa wyjęte z baśni...
Spróbujcie je tylko wspak odczytać,
a wszystko się wyjaśni...

Stanisław Aleksandrzak

NASZ ZWIERZYNIEC

ŻURAW

Szyja żurawia jest długa, ale jeszcze dłuższa jest jego tchawica, wykształcona jakby na wyrost, przez co uległa spętleniu w klatce piersiowej. Głos wydobywający się z dolnej części jego krtani, kształtując się w owej pętli, jak w jakiejś fujarce, przekształca się w piękny dźwięk nazywany klangorem. Akustykę i rezonans dodatkowo potęguje jama mostka ptaka i specjalne urządzenia rezonacyjne w krtani dolnej.

Obok bociana, kruka, orła czy sowy, żuraw jest bohaterem wielu ludowych opowieści i legend. Jest ptakiem ciężkim, ważącym 6 kg, o wzroście 130 cm i rozpiętości skrzydeł 240 cm. Przylatuje do nas z południowej Afryki i południowej Azji. Jest ptakiem płochliwym i bardzo czujnym. Gnieździ się na niedostępnych, bagiennych terenach. Odżywia się roślinnością jak gęś, ale też lubi prostoskrzydłe owady. Samica znosi przeważnie dwa jaja, które wysiadują oboje rodzice. Zaloty godowe żurawi są prześmieszne — jakieś wrzaski, piękne tańce, wzajemne pokłony, podskakiwania i bicie skrzydłami.

Nasz, zwyczajny żuraw, owszem, jest ładny, ma zgrabną sylwetkę, upierzenie jasnopopielate z czarnymi piórami w skrzydłach i karminowoczerwonymi nabrzmieniami na głowie. W zachwyt jednak wprawia obserwatora żuraw koroniasty, żyjący na południu Sahary. Ma on na głowie koronę z żółtych piór, czarne upierzenie i białe pokrywy skrzydeł. Na szyi ma czerwony wisiorek, na policzkach biało-czerwone płaty skórne. Jednak żuraw koroniasty nie wydaje takiego dźwięcznego klangoru jak nasz żuraw zwyczajny, ale coś, co podobne jest do zwykłego krakania.

W Afryce żyje jeszcze żuraw rajski, w Azji i północnej Afryce — żuraw stepowy. Największym gatunkiem wśród żurawi jest Antygona indyjska. Masa ciała tego żurawia dochodzi do 8 kg. Są też mniejsze ptaki w tej rodzinie — chruściele, wśród których najmniejsze są wielkości naszego wróbla, a największe — kury. Żyją w gęstych zaroślach i chrustach, stąd ich nazwa.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 150 zł,
półrocznie — 300 zł,
rocznie — 600 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (redaktor graficzny), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201046-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1988 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 66×122 cm, kl. V.

Zam. 2371/87 D-23
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

ŻURAW

Fot. Michał Wlaziński

CENA 25 ZŁ